

Toronto, dnia 30 grudnia 2011 r.

Fr Jan Sadowski, OMI

156 Roncesvalles Avenue

TORONTO, ON

Canada M6R 2L4

E-mail: omijs@hotmail.com

www: katecheza.info (przejsć na „Katechezy dla Dzieci” i „Poczta Kapłańska”)

www: laudate.pl (przejsć na „Czytelnia”, potem „O Jan Sadowski omi”)

Z Kanady po raz sześćdziesiąty drugi

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!

Gorące lato i ciepła jesień przeminęły, śnieg już się pokazał i zniknął, więcej jest deszczu, chociaż to połowa grudnia. A przy takiej pogodzie przypomniałem sobie, że od rozesłania mojego listu ze wspomnieniami z ostatniego urlopu w Europie mija trzy miesiące, więc czas na przygotowanie listu wspólnego. Najważniejszą sprawą w chwili rozpoczynania tego listu jest problem, czy warto jeszcze dzielić się moimi przeżyciami? Wydaje mi się, że już wszystko opisałem, a teraz tylko powtarzam i to nie po raz pierwszy czy drugi. Życie płynie dalej, problemy pozostają przynajmniej podobne, jeśli nie takie same. I po takim optymistycznym wstępie przechodzę do (nie)nowości.

W miesiącu wrześniu odpoczywałem po urlopie i spisywałem przeżyte wydarzenia w Niemczech i w Polsce, a także umieściłem kilka wzmianek o przygodach w samolocie i na lotniskach. W Toronto jesienna pogoda pozwalała mi na spacer dalsze i krótsze. Jeden szczególnie utkwił mi w pamięci i w nogach. Raz do roku pozwalam sobie na głupotę przejścia nieco ponad 20 kilometrów, aby sprawdzić, czy moje nogi potrafią pokonać tę trasę. Droga była płaska i sucha, to najważniejsze. Szedłem łącznie 7 godzin z jednym posiedzeniem w barze na posiłek koło południa. Przez pierwsze 5 godzin idąc spokojnym krokiem ulicami pełnymi przejeżdżających samochodów nie czułem zmęczenia. Ostatnie dwie godziny pokonałem idąc dużo wolniej, ale do celu dotarłem. Celem była ostatnia stacja metra przy wielkim domu towarowym już na przedmieściu Toronto. Do domu jednak wróciłem jadąc metrem i kończąc dojazd w tramwaju niemal przed kościołem. Niestety, po remoncie ulicy trwającym trzy lata - w zimie nie pracowano - przeniesiono przystanek tramwajowy i mam przynajmniej czterdzieści sześć metrów i trzydzieści dwa centymetry dalej od przystanku do drzwi mego domu. Kierujący tramwajami jednak przed wejściem do kościoła przystają w niedziele, chociaż już nie ma znaku przystanku, jeśli są osoby przyjeżdżające na Mszę Świętą, aby miały bliżej do drzwi kościelnych. Takie tablice informujące o przystanku autobusowym albo tramwajowym w niedziele spotyka się przed wieloma kościołami w całym Toronto. Kierowcy autobusów są bardzo życzliwi, o czym mogłem się nieraz przekonać. Na przykład. Ogród ze zwierzętami za kratkami znajduje się na krańcu miasta i bywa, że ja jestem jedynym pasażerem na odcinku dwóch ostatnich przystanków, także często jestem jedynym pasażerem wsiadającym na krańcowym przystanku przed bramą wejściową. Zdecydowana większość zwiedzających przyjeżdża swoimi samochodami. Dla nich jest przygotowany ogromny parking. Pewnego razu kierowca mnie nie zauważył i myśląc, że jest sam w autobusie, chciał zająć na postój nie dojeżdżając do końca trasy (następny autobus jechał 4 minuty za nim, gdyż ten pierwszy autobus był opóźniony 6 minut). Zorientowawszy się w sytuacji poprosiłem o bilet zwany „transytem”, abym bez płacenia mógł wsiąść do następnego autobusu. Kierowca nie dał mi tego biletu, ale drzwi nie otworzył i dowiózł na miejsce. Wiele razy kierowcy zatrzymują się 50 metrów przed przystankiem, abym ja jak i inni pasażerowie mieli bliżej do wejścia. Nawet prosić nie trzeba. Przeciętnie raz na miesiąc odbywam tę długą podróż (tramwajem, metrem i autobusem) do ogrodu zoologicznego, nawet jesienią czy zimą, chociaż wiele zwierząt udaje się wtedy na zimowiska i przeszkadzać im nie można. W listopadzie ostatni ze słoni przeniósł się czy został przetransportowany do Kalifornii, kiedy młoda jeszcze słonica padła. Wszystkie sześć słoni tego ogrodu miały połamane kły, co mnie bardzo dziwiło, nigdzie więcej takich słoni nie widziałem. Tu dla nich pomimo dużego wybiegu warunki były nieznośne, stąd była konieczność umieszczenia ich w warunkach odpowiedniejszych dla tych zwierząt. O czworonogi i dwunogi jednak tu dbają. Jeszcze w grudniu mam zamiar udać się tam, aby opłacić następny bilet pozwalający na odwiedzanie i pocieszanie tych więźniów przez następne dwa lata. Jedynie lwy widywałem na śniegu i nie widziałem, aby były niezadowolone. Ale w ogrodzie są 4 pawilony z roślinnością i zwierzętami żyjącymi w tropiku, więc można się rozgrzać.

Dwa bary są czynne zimą, latem o trzy więcej nie licząc takich na kółkach dla zgłodniałych. Widząc tłumy siedzących przy tych barach mam wrażenie, że niektórzy tu przyjeżdżają tylko na posiłki. Mnie też się raz to zdarzyło w końcu listopada. Kiedy mam dzień bez obowiązkowego siedzenia w konfesjonale przed wieczorną Mszą Świętą, wyruszam na długi spacer, zwykle pięciogodzinny, nie licząc dojazdu w tamtą stronę i do domu. Kierunek wybieram schodząc po schodkach przy biurze. Pogoda wydawała mi się piękna, więc skierowałem się chodnikiem w prawo, aby po 95 minutach jazdy trzema rodzajami pojazdów miejskich zająć do celu. Zająłem. Przeszedłem bramę nie płacąc (bilet ważny do końca stycznia 2012 roku) i zauważyłem, że prószy śnieżek, który padając na jeszcze nie zmarznąętą ziemię zamienia się w błoto. Droga nie dla mnie. Wstąpiłem do baru, wypłem coś ciepłego bez kofeiny, coś zjadłem i... wyszedłem z ZOO kierując się na przystanek autobusowy. Na spacer w takim wypadku wybieram wielkie domy towarowe. Ekspozyty do kupna, ale nie dla mnie, chociaż w sklepach pamiątkarskich wydają się nawet ciekawsze, niż w kanadyjskich muzeach. Może jedynie Galeria Sztuk Pięknych po odnowieniu ma przedmioty mogące mnie bardziej zainteresować

, zwłaszcza torontoński oddział miniatur. Zaimponowała mi ilość eksponatów i bardzo żywe kolory. Zwiedzanie takich obiektów zaczynam zazwyczaj od najwyższego piętra, ale windę, a nawet dwie, zauważyłem dopiero po wejściu na szóste piętro.

W kinie z ogromnym panoramicznym ekranem w centrum nauki zmieniono program i życzliwi parafianie zawieźli mnie, abym ucieszył oczy widokami północnej Kanady. Po filmie podjechalśmy do restauracji, aby i żołądek też się ucieszył. Cieszy mnie okazywana życzliwość rodziny tak bardzo zaangażowanej w dwóch parafiach polonijnych w prowadzeniu kursu przedmałżeńskiego i pomocy w atrakcjach urządzanych dla służby liturgicznej. W tym roku w niektórych szkołach w niektóre piątki nie ma zajęć i wtedy najmłodsze dzieci przybywają na salę parafialną, aby przez 4-6 godzin bezkarnie wylupiać się, jak skomentował sześciolatek. Różne gry są do ich dyspozycji, komputer i ekran do wyświetlania filmów z DVD, a nawet stół do ping-ponga, a na zwykłych stołach napoje i smakołyki. „Normalnego” obiadu czy chociażby pizzy im nie potrzeba. Przy okazji spotykają się też rodzice niemniej się cieszący z takiej możliwości wspólnego przebywania. Dzieci pamiętają przede wszystkim, że na sali „jest ich dużo”. Niejeden raz dzieci odpowiadały mi na pytanie, co najbardziej zapamiętają? – jest dużo dzieci.

Niespodziewanie dla mnie usłyszałem pochwałę i to w dziedzinie, w której zawsze byłem ostatni. Pewnego wrześniowego dnia nasz pan organista powiedział mi, że ze wszystkich ojców ma najmniej kłopotu ze mną przy wyborze tonacji do odpowiedzi podczas nabożeństw. Z góry wie, że każde wezwanie będzie przeze mnie źle zaśpiewane. Gdy nabożeństwo odprawiają dobrze śpiewający, musi się wsłuchiwać, w jakiej tonacji ojcowie śpiewają, aby w tej samej odpowiedzieć. A ojcowie pracujący w tej parafii świętego Kazimierza w Toronto należą do bardzo dobrze i ładnie śpiewających. I jeszcze jedna ciekawostka. Wszyscy ojcowie podczas Mszy Świętej w tygodniu biorą śpiewniki i rozpoczynają odpowiednią pieśń patrząc w nuty. Wszyscy z wyjątkiem mnie. Ja, jeśli przewodniczę Mszy Świętej bez grania, rozpoczynam śpiew wybierając taką pieśń, którą obecni w kościele znają na pamięć. Zawsze mnie cieszy śpiew głośny, mniej patrzę na poprawną zgodność z nutami. Kościelny śpiew powinien pochodzić z serca, być śpiewanym głośno, chociaż byłby śpiewem od siedmiu boleści i czternastu fałszów, o czym pisał pan Kornel Makuszyński.

W miesiącu października w kościele – jak co roku – były nabożeństwa różańcowe. Każdego dnia pierwszą część zdrowaśki recytowali członkowie z grup parafialnych. Swoje „Różańce” miały też dzieci służby liturgicznej, które przychodziły się modlić, a przy okazji zbierały punkty po nagrody. Przed nabożeństwem – jak zwykle – w ich salce było głośno, przecież ministrantki musiały się naplotkować. Ministranci przychodzą zazwyczaj punktualniej i czasu starcza jedynie na włożenie stroju liturgicznego. Dotychczas myślałem, że dzieci tej grupy przychodzą przede wszystkim, aby albo się modlić, albo zbierać punkty. Ten trzeci aspekt jest też bardzo ważny. Dobrze, że zaczynają wcześniej, może dorównają starszym parafiankom, które ja pouczony przez Mariana Żaluckiego nazywam wszystkowiedziami. Ostatnio dowiedziałem się, co robiłem pewnej niedzieli na stadionie na przedmieściu Toronto, a tam do tej pory jeszcze nie byłem, ponieważ kupiony przewodnik nie napisał, że jest tam coś dla mnie interesującego. Poza tym każdej niedzieli po południu, jak już kiedyś pisałem, drzemię przed ekranem monitora, na którym zawodnicy dwóch włoskich drużyn kopią piłkę, i słucham piosenek, przeważnie polskich.

Mam jeszcze jeden poważny problem. W październiku byłem obecny na wielkim przyjęciu, na szczęście, nie tylko z mojego powodu, gdyż urodziny obchodził także ojciec proboszcz naszej parafii. Kiedy mnie składano życzenia, w tym roku osobom godnym zaufania odpowiadałem zupełnie szczerze i szczerze byłem zrozumiany: „nie szkodzi, przebaczam”. Taka odpowiedź pozostaje dłużej w pamięci, a dodatkowy uśmiech składającego życzenia świadczy o szczerości tych życzeń. Osobom zbyt poważnym, do których moje zaufanie jest tylko poprawne, ale nie jest pełne, tak odpowiadać nie miałbym odwagi. Szczerość poznają po życzliwości i zrozumieniu mnie na co dzień przez cały rok.

A potem był jeszcze listopad. Jak każdego roku, oblaci zgromadzili się na cmentarzu Wniebowzięcia, na którym złożono na wieczny odpoczynek ciała kilkunastu polskich oblatów. Przy niektórych grobach palących się zniczy jest więcej, chociaż i lat więcej minęło od pogrzebu. To też jest dowód wdzięczności i pamięci wobec zmarłej osoby. Kiedyś na tym cmentarzu byłem prywatnie w ramach spaceru. Nie szedłem z domu na pieszo, bo samochodem po autostradzie jedzie się od nas przynajmniej 25 minut. I wtedy, w tygodniu, widziałem palące się znicze na grobach niektórych oblatów. Jeden z nich zmarł 15 lat temu, a jest wciąż wspominany i to tylko „z dobrej strony”. Na zebraniach parafialnej grupy nagrywano jego komentarze i po śmierci je wydrukowano. Słuchający uznali za wartościowe i nadal czytając tę książkę przypominają sobie tego duszpasterza, kapłana, oblata.

W listopadzie też odbył się międzynarodowy konkurs piosenki katolickiej. Przez 3 dni śpiewali soliści i w zespołach z Kanady i z Europy. Organizatorem jest Katolickie Studio Młodych. Nagrodę główną zdobyła dwunastolatka. Jeśli chcecie posłuchać tego radia, wystukajcie na wyszukiwarce internetowej taki adres:

www.ksmradio.com

Dzień ósmego grudnia jest w naszym Zgromadzeniu Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej wielkim świętem, gdyż Maryję czcimy jako naszą patronkę. Od niepamiętnych dla mnie czasów w tym dniu zbieramy się w naszym ośrodku rekolekcyjnym. Przybywają oblaci z okolic Toronto, ale nawet z Ottawy (460 km) i Wilna (300 km) oraz osoby pracujące w parafiach prowadzonych przez oblatów. Na szczęście, ośrodek w roku ubiegłym został powiększony o dużą salę, więc tłoku nie było. Najpierw, jak zwykle, po przywitaniu się „każdego z każdym”, no, może z prawie każdym, modliliśmy się na tej nowej sali, gdyż kaplica okazała się za mała. Po Mszy Świętej były rozmowy przy zakąskach na talerzykach trzymany w rękę, a za pół godziny usiedliśmy przy stołach w powiększonej jadalni. Jak zwykle w tym ośrodku, po modlitwie przed jedzeniem każdy zabiera postawiony przed nim pusty talerz i udaje się do półmisków, aby wybrać to, czego pragnie. Praktyczne. W Kanadzie, jak i w Polsce, dzień 8 grudnia nie jest dniem wolnym od pracy, ale biura w polskich parafiach nie przyjmują interesantów. Przecież osoby pracujące jako sekretarki tego dnia w naszych parafiach modlą się i obiadują razem z nami.

Niespodziankę przeżyłem następnego poranka. Idąc na śniadanie o 6-jej rano przy drzwiach mojego pokoju ujrzałem różę. Byłaby piękna, gdyby nie miała kolców, jak każdy kwiat tego gatunku (z wyjątkiem ogródka przy

kościół, gdzie żył św. Franciszek prawie 800 lat temu – rosnące tam róże kolców nie mają). Dwie godziny później róża znalazła się w zakrystii, a nieco później w kościele, już w wazonie. Ja wieczorem do swego pokoju wracam wcześniej i współbracia znając mój zwyczaj nie przeszkadzają mi. Co mają mi przekazać, zostawiają przy drzwiach. Tym razem jednak powstał problem, jaki chyba tylko ja mogłem wymyślić. Nie wiem, kto przyniósł tę różę dla mnie i nikomu nie mogłem podziękować. Jednak zastanawiam się, czy mógłbym podziękować za otrzymane kolce ozdobione czerwonym kwiatem róży? Tylko niektórzy z moich przyjaciół nie obraziliby się ani ja nie bałbym się im tego powiedzieć. Jednemu to powiedziałem. Prawdopodobnie on położył tę różę daną dla mnie przez kogoś, kto chciał obdarować

każdego z nas mieszkających przy tym kościele świętego Kazimierza. Niestety, nie wiem, kto to był, a pytać nie wypada, skoro uczynił to anonimowo. Będzie miał większą zasługę u Pana Boga. Dociekliwym proponuję znaleźć w Ewangelii, co na ten temat powiedział Pan Jezus.

Zanim napiszę o bardzo krótkiej, ale ważnej rozmowie z ojcem Arturem, oblatem z Ukrainy, wprowadzę Czytelnika w atmosferę lat siedemdziesiątych. Polacy zawsze lubili małpować Francuzów i to nawet wówczas, gdy ich postępowania katolik pochwałać nie powinien. W 1968 roku nastąpiła we Francji mała rewolucja, w której okazała się słabość Kościoła, a przede wszystkim duchowieństwa. Podczas zamieszek politycznych nastąpił też kryzys religijny. Księża poczuli się niepotrzebni i wielu poszło w swej działalności w kierunku pracy społecznej. To samo w sobie nie jest rzeczą złą, ale – jak zawsze – Bóg powinien być na pierwszym miejscu. Księża (nie wszyscy!) stali się działaczami społecznymi. Takich i ja spotkałem. Bywało, że proboszcz w swoich pokojach miał rzeczy dostarczone przez parafian, których oni już nie potrzebowali (kupili sobie nowe, właściciele zmarli ...). Potrzebujący mogli przyjść i wybrać sobie, co im było przydatne. Korzystali z tego często nowożeńcy meblując swoje mieszkania, zanim dorobili się własnych kupionych w ich guście. I wszystko byłoby dobrze, gdyby ta działalność nie była kosztem pracy w kościele. Podczas mego pobytu we Francji znałem takiego księdza-społecznika, który nie zawsze wiedział, kiedy będzie miał czas na odprawienie niedzielnej Mszy Świętej. Gorliwi parafianie czekali, ale takich było niewiele. Ta atmosfera pociągnęła także niektórych księży w Polsce, którzy w swoich kazaniach pouczali o miłości wzajemnej międzyludzkiej, bez odwoływania się do Słowa Bożego, zapominając, że w Piśmie Świętym też są wskazania co do miłości bliźniego. Właśnie na początku lat siedemdziesiątych spotkałem pewnego zakonnika, który miał zastąpić swego współbrata w prowadzeniu rekolekcji. Współbrat po prostu nagle zachorował. Zastępca miał niewiele czasu na przygotowanie nauk, ale zrobił to w sposób oryginalny. Zamiast usiąść przy biurku, poszedł do miasta i wstąpił do sześciu kościołów (niedziela, duże miasto). Wysłuchał sześciu kazań i policzył, że sześciu kaznodziej zacytowało siedem razy Pismo Święte.

Teraz już mogę przejść do „współczesności”. Ojciec Artur Stronczewski, oblat pracujący na Ukrainie, przybył do Kanady, aby w polskich parafiach prowadzonych przez oblatów wygłosić sześć serii rekolekcji adwentowych po 3-4 dni. Po wysłuchaniu pierwszej nauki rekolekcyjnej skomentowałem jego kazanie w ten sposób: „Ojciec zacytował Pismo Święte więcej, niż siedem razy w jednej nauce”. Wyjaśniłem, oczywiście, o co mi chodziło. Zostałem zrozumiany. Ze spokojem przyjął pochwałę wyrażoną w tak dziwnej formie. Przez półtorej minuty wyrażaliśmy nasze doświadczenia z głoszenia kazań. Chociaż kazań nie głoszę, ale zawsze warto coś więcej wiedzieć. Ja jedynie mogę podzielić się znajomością skutecznej modlitwy przed kazaniem, którą znam od 52 lat: „Dmij, Duchu Święty, w trąbę swoją”. Chociaż tak sformułowana modlitwa wydaje się dowcipem, jest w niej dużo racji, Przekonał mnie o tym pewien ksiądz, który przetłumaczył ją na język łaciński, nieco rozszerzając.

W ostatnim czasie moje myśli często skupiają się na środkach masowego przekazu. Prasa jest potrzebna, telewizja też pożyteczna, aby orientować się w zachodzących zdarzeniach i zmianach w świecie. Są jednak problemy, które mnie się nie podobają, a jestem bezsilny. Dziennikarze przekazują informacje w sposób subiektywny, nie zawsze licząc się ze skutkami wiadomości wydrukowanych czy coraz częściej przekazywanych także obrazami poprzez internet. Ostatnio moja uwaga skupiła się na problemie zdjęć

, które spowodowały gniew i oburzenie ludzi w Kościele, a które powstały dzięki technice komputerowej. Jest też niby walka z pornografią, ale w gazetach upublicznia się zdjęcia i obrazki krytykowane przez obok drukowany tekst z pełnym potępieniem autora. W ten sposób – moim zdaniem i w moim odczuciu – zło jest propagowane i to nieraz miliony razy. Jeżeli dane zdjęcie ma znamiona przestępstwa i jest nieetyczne, sfingowane czy po prostu obraźliwe, to dziennikarz publikujący je także popełnia przestępstwo i to bardzo wielokrotne. Podobnie sprawa ma się z artystkami i artystami obrażającymi uczucia religijne. Nieraz sprawy trafiają do sądu, ale wyrok nie usunie zła, a rzadko jest przyjęty przez skazanego ze zrozumieniem, o ile zostanie wydany werdykt potępiający. Najczęściej takie sprawy toczą się latami i w końcu zostają umorzone. Podobnie rzecz ma się z umorzeniem sprawy z powodu „małej szkodliwości społecznej”. Ale dla skrzywdzonej osoby samotnej czy na emeryturze strata stu czy dwustu złotych może być krzywdą bardzo dużą i trudną do naprawy. Dlaczego więc o tych drobnych brudach dziennikarze nie piszą, a tak dużo piszą i mówią o sensacyjnych aktach, które przez ich opisanie przy okazji służbie prawdzie demoralizują tysiące czy miliony czytelników? Podczas pewnej dyskusji wyjaśniono mi, że gdyby o takich sensacjach nie pisali, ludzie nie kupowałyby gazet. I w tym jest trochę racji, „trzeba opisywać skandale, aby gazeta nie zbankrutowała”. A poza tym – są wydawnictwa na przykład katolickie, która dbają o to, aby treści i zdjęcia były zgodne z etyką i nie bankrutują.

Chociaż... Przed kilkunastu laty jeden z cenionych przeze mnie tygodników francuskich mający w tytule „chrześcijański” wydrukował zdjęcie przedstawiające obraz Matki Boskiej Karmiącej. Jedna z czytelniczek była urażona formą przedstawienia Matki Boskiej z Jezuskiem przy piersi. Redakcja przeprosiła, ale też wyjaśniła, że takie obrazy w licznych domach wisiały na ścianach i chrześcijańskiej rodzinie przypominały, że Matce Bożej polecają opiekę nad ich domem, zwłaszcza troskę, aby nikt w rodzinie nie cierpiał z powodu głodu. Takie obrazy były przecież i w mieszkaniach polskich rodzin, a krytyki nie słyszałem.

Drugim problemem, który leży mi na sercu, jest sprawa dorocznego przyjmowania prezentów i życzeń przez jubilatów. W Polsce obchodzi się imieniny. Jedynie w regionach, gdzie dominują protestanci, mieszkańcy obchodzą

urodziny. Podobnie jest w Kanadzie jako że jest to kraj protestancki i te zwyczaje dominują, nawet katolicy upodabniają się do nich. Nic dziwnego, że protestanci nie obchodzą imienin, ponieważ ich twórca, Marcin Luter, zwątpił w możliwość osiągnięcia świętości, odrzucił możliwość otrzymania przebaczenia grzechów, a jedynie Chrystus zasłania je przed Bogiem Ojcem płaszczem swoich zasług, z czego wyciągnął wniosek, że świętych nie ma i nie należy modlić się do nich. Nie zrobił wyjątku nawet dla Matki Zbawiciela, chociaż w hymnie zanotowanym przez świętego Łukasza, a śpiewanym lub tylko odmawianym codziennie w czasie Nieszporów, Maryja cieszy się, że „odtąd zwać Mnie będą błogosławioną (czyli szczęśliwą) wszystkie narody”. Protestantom pozostało więc obchodzić urodziny. Będąc jeszcze na Madagaskarze byłem proszony przez polską młodzież ze Śląska, abym tę sprawę im wyjaśnił. Napisałem podobnie, jak tutaj. Także, jak tutaj, dołączyłem pewne propozycje. Trudno zmienić wszystkie zwyczaje, zwłaszcza że rodzina i znajomi chcą jeszcze ten jeden raz w roku wyrazić życzliwość i ofiarować kwiaty czy prezent pożyteczny. Te ostatnie szczególnie pochwalam. Jeżeli nie można zmienić tego protestanckiego zwyczaju, proponuję bawić się razem z gośćmi w rocznicę urodzin. Natomiast w dniu imienin proponuję świętować w rodzinie po chrześcijańsku. Przypomnieć sobie życie ziemskie swego patrona. W samym dniu Patrona albo w najbliższą niedzielę przystąpić do Komunii Świętej w intencji solenizanta całą rodziną. Nawet jeśli syn czy córka ma dopiero cztery czy sześć lat, będzie się cieszyć, że wszyscy w jej/jego intencji się modlą. A w domu uroczystszy obiad przy wyłączonym telewizorze. I dużo rozmów. Papież Jan Paweł I jeszcze jako Kardynał zauważył, że zawsze dziwiło go to, iż Pan Jezus najważniejsze nauki dawał przy stole, podczas posiłków. Warto o tym pamiętać.

W listopadzie też zdarzyła się awaria i przynajmniej kilkadziesiąt litrów wody zalało mi łazienkę, ale też weszła do pokoju. Sufit pod moim pokojem nasiąkł, wykładzina na podłodze stała się wilgotna. Przyczyny nie znam. Trzeba było wymienić krany. Szczęście, że byłem u siebie.

Niedawno otrzymałem taką receptę na uszczęśliwienie się wzajemnie w rodzinie.

Chciałabym Wam zdradzić mój tajemny przepis na Nowy Rok, żeby był jeszcze wspanialszy od tego zakończono. Przepis wypróbowany osobiście (w końcu dobra ze mnie kuchareczka) i nie wymaga nadprzyrodzonych zdolności, a jedynie odrobiny chęci i zaangażowania:

Ściskam Was wszystkich i każdego z osobna bardzo gorąco!!! Zachęcam do wypróbowania przepisu, a na filiżankę tej orzeźwiającej herbaty mogę zaprosić do siebie.

Bierzemy 12 miesięcy, oczyszczamy dokładnie z goryczy, małostkowości i lęku, po czym rozkrajamy każdy miesiąc na 30 lub 31 części tak, aby zapasu starczyło dokładnie na cały rok. Każdy dzień przyrządzamy osobno z jednego kawałka pracy oraz dwóch kawałków pogody i humoru. Należy pamiętać o minimalnej ilości spokojnego snu. Do tego dodajemy trzy duże łyżki nagromadzonego optymizmu, łyżeczkę tolerancji, ziarenko ironii i odrobinę taktu. Następnie całą masę polewamy dokładnie dużą ilością miłości. Gotową potrawę przyozdabiamy bukietem uprzejmości i podajemy codziennie z radością oraz z filiżanką dobrej, orzeźwiającej herbaty.

Prawda, że to dziecinnie proste?

I jeszcze pani Patrycja: Przepis na szczęśliwą rodzinę.

Należy przygotować:

Dwoje Rodziców

Kilkoro dzieci

1 kg serdeczności

szklanek szacunku

szklanek szczerości

1 kg uśmiechu (można zastąpić radością)

dużo wolnego czasu spędzonego wspólnie

2 kg czułości

1 kg zrozumienia

1 litr pomagania sobie wzajemnie.

Do smaku dodajemy wspólne rozwiązywanie problemów.

Składniki dokładnie mieszamy.

Wszystko oblewamy ogromną ilością miłości.

Pieczemy przez całe życie

w zaciszu domowego ogniska.

Można udekorować babcią i dziadkiem.

Smacznego!!!

*Z serdecznym pozdrowieniem
W Chrystusie i Marysi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, omi*